

I. W KRĘGU RODZINNYM

*Janina Jurkiewicz**

Wspomnienia rodzinne

Początek naszego stulecia — Ojczyzna pod zaboremi obcych władców. Polaków łączy jedynie mowa ojczysta i wiara w Boga. Na pograniczu Mazowsza i Podlasia, nad Bugiem, leży mało znacząca wieś polska, nazywa się Zuzela. Wokoło wsi — łąki, lasy, pola i dużo piasku. Idziemy drogą przez wieś. Na prawo kościół, obok plebania. W ogrodzie dostzegamy księdza. Jest to miejscowy proboszcz, ksiądz kanonik Antoni Lipowski. Naprzeciw kościoła szkoła, którą prowadzi pan Rubinowski. Koło szkoły organistówka. Obydwa budynki od tyłu łączy wspólna furta. Widać, że rodziny są zaprzyjaźnione. Z przodu skromne ogrodzenie. Oto drzwi frontowe organistówki. Wchodzimy do sieni. Na lewo znajduje się mieszkanie organisty. Wejźmy do środka. Widzimy dwa pokoiki i kuchnię od podwórza. Identyczne mieszkanie po prawej stronie budynku zajmuje ksiądz wikary. Młodzi księża co roku się zmieniają. Ks. Mrozewicz, ks. Jan Jaworski, ks. Wacław Śniegocki.

W rodzinie Wyszyńskich także ruch. Jest już córeczka Anastazja. W 1901 roku przychodzi na świat Stefan — dziedzic nazwiska. Kim

* Siostra księdza kardynała Stefana Wyszyńskiego

będzie to dziecko — trudno zgadnąć. Na razie trzeba je karmić, ubierać, wychowywać. Niebawem rodzą się jeszcze dwie dziewczynki: Stasia i Janka. Miejscowi wikariusze kolejno są ojcami chrzestnymi tej gromadki i zostawiają dzieciom chrzestnym swoje imiona. Z okna widać było Bug, płyną po nim ciężkie, nadawane łodzi. Do rzeki prowadzi ścieżka — co jest dalej?

Na ścianach domu święte obrazy: Matka Boska Częstochowska, Matka Boska Ostrobramska, Matka Boska Nieustającej Pomocy. Czyżby były także trzy „Bozie” w niebie? Przed tymi obrazami trzeba się modlić. Trzeba najpierw umoczyć palec w kropielnicze z wodą święconą i zrobić znak Krzyża świętego. Ojciec tak robi.

— Dlaczego? — pytają dzieci.

— Tak trzeba — odpowiada.

— Czy to „Bozia”?

— Nie, to Ojciec święty Leon XIII — odpowiada ojciec.

— A ten pan? — pytają.

— To jest książę Józef Poniatowski. Później dowiedzie się o nim więcej. Trzeba trochę urosnąć — odpowiada ojciec. — Spójrzcie jeszcze na wielki obraz w czarnych ramach. Jest to wyjście procesji z kościoła świętej Barbary w Krakowie. Ktoś przewrócił się w tłoku. Tyle ludzi.

Dobrze pamiętam matkę. W pięknej, długiej, popielatej sukni i w słonkowym dużym kapeluszu, strojnym w kolorowe kwiaty, siedzi w kościele tuż obok organów. Jej mąż tu gra i śpiewa na chwałę Bożą a głos ma piękny, wysoki... Skąd się wzięła u kolan matki trzyletnia Stasia, która ciągnie matkę za rękę, płacze i woła do domu. Spieszą się obydwie, trudno zrozumieć, co mówi zaplakane dziecko. Są w domu. Matka smaruje podrapane boki krzyżującego dziecka, a Stefan opowiada z lękiem, jak nie mógł jej wyciągnąć, bo wpadła głęboko w wysoki wózek.

Dzieci rosną i już gromadka staje do pomocy. Starsze dziewczynki sypią kwiatki w czasie procesji. Stefan służy do Mszy świętej. Dwoje dzieci chodzi do szkoły pana Rubinkowskiego. Dziwny dom ta szkoła, w pokoju tyle ławek, na ścianie jakiś pan w mundurze, to car rosyjski.

— Przyjdzie do szkoły podobny pan, ale to będzie inspektor — tłumaczy nauczyciel.

— Wy trzej z ostatniej ławki i ci z kąta macie brudne zeszły i pusło w głowach. Jak powiem: „Inspektor przyjechał”, złapiecie tornistry

i tylnymi drzwiami na dwór. Zamkniecie się w komórce — krzyczy nauczyciel.

Można też w szkole dostać łapę — linia leży na katedrze. Można zostać także bez obiadu albo kłęczć za karę. Dzieci przeżywają to wszystko i po powrocie do domu opowiadają rodzicom.

Stefan często posyłany jest przez ojca do księdza proboszcza. Czasem biegną z nim siostry. Gdy ksiądz kanonik spżywa spóźniony obiad, kładzie dzieciom w otwarte dłonie coś gorącego i śmieje się serdecznie, gdy dzieci przerzucają placki z ręki do ręki, aby się nie oparzyć. Po obiedzie ksiądz kanonik idzie z brewiarzem do lasu, blisko, zaraz za ogrodem. Zabiera często ze sobą dzieci. Idą chętnie, gdyż z kieszeni sutanny wygląda torebka z cukietkami. Na stół trzeba jednak „zarobic?”. Ksiądz kanonik lubi żartować.

Czasami rodzice wyjeżdżają z domu na parę godzin. Wtedy ksiądz wikary pełni opiekę nad dziećmi. Słucha pacierzy, gra na gramofonie lub otwiera drzwi swojego i naszego mieszkania, prosząc, by dzieci biegły wokoło przez pokój, kuchnię i sieni. Przy tym klaszcze w dłonie i zachęca do szybkiego biegu, a nawet sam chwilałami biegnie.

W ważne święta ksiądz wikary przychodzi do naszego mieszkania z dużą tortą słodczy. Razem śpiewamy pieśni kościelne. Po wigilii ojciec ze Stefanem zabierają koszyk z jedzeniem i idą do pana Mowia, który mieszka niedaleko cmentarza grzebalnego. Był dla niego przygotowany na stole wigilijny talerz, ale on nie przyszedł. Zobaczymy, może jest chory.

Czasami do spokojnego domu wypełnionego gwarem dzieci przychodzi wieści. Mężczyźni coś szepczą. Już wszystkie mogiły w polu w lesie mają ponaprawiane krzyże. Leżą tam żołnierze, którzy walczyli za Polskę w 1863 r. Stefan chodzi z dorosłymi na te groby. Nosi tabliczki z napisami i gwoździ. Po powrocie nic dziewczynom nie mówi. To męska sprawa...

W domu ciasno. Kuchnia jest duża. Okna ma tak ułożone, że można z niej zrobić pokóik i kuchnię. Ojciec robi taką ściankę przy pomocy stolarza i starsze dzieci mają pokój do nauki i zabawy.

Jest rok 1907. Rodzi się drugi syn. Ma na imię Wacław tak jak ksiądz Śniegocki, który go podawał do chrztu. Drugie tak jak papierz — Leon. Dziecko ma dobrych patronów.

Rok 1910. Wiosna. Ojciec dowiaduje się o wolnej posadzie organisty

w Andrzejewie. Miasteczko to leży nad rzeczką, która wpada do Bugu. Jest tu rynek, remiza strażacka, sklep, szkoła, ochronka, piękny zabrytkowy kościół, cmentarz grzebalny, a na nim ładna kaplica. Jest także plebania w ogrodzie, gdzie są dwie stare lipowe aleje. Można tam w niedzielę pospacerować. Jest plac do zabaw dla dzieci.

Ojciec jest już zdecydowany. Smutne pożegnanie z Zuzelą, kościółem, księdzem Antonim Lipowskim. Smutne pożegnanie z ołtarzem Matki Boskiej Częstochowskiej, gdzie Stefan służył do Mszy świętej, poznawał naczynia i szaty liturgiczne i gdzie już czasami myślał: „Chyba będę księdzem...”

Matka boi się przeprowadzić. Ma 33 lata. Spodziewa się szóstego dziecka, ma złe przecucia. „Na śmierć mnie tam wieszysz?” — mówi do ojca. Jej słowa były prorocze. Trzeba jednak ryzykować.

Jest kwiecień 1910 roku. Ojciec ze starszymi dziećmi wyjeżdża dzień wcześniej, aby przygotować dom, ustawić meble. Dzień przyjazdu matki — droga od mostu na rzece idzie prostopadle na dom, nowy dom rodzinny. Stefan siedzi na płocie i obserwuje most. Tak, już woła głośno na ojca, biegnie naprzeciw. Matka rozgląda się ciekawie — ten trzeci pokój z dużym fortepianem pewno zimny będzie — myśli.

W ciągu kilku dni życie jest już zorganizowane. Troje starszych dzieci jest już w szkole pana Arasimowicza. Młodsze matka prowadzi do ochronki. Tu uczy pani Zofia Raczyńska. Opiekunem ochronki jest ksiądz kanonik Rozpędowski, wikarym ksiądz Stanisław Bobiński. Wszystko dobrze się układa. W domu ochronki są dwa pokoje: jeden do nauki, drugi do zabawy. Przy wejściu do ochronki należy mówić: „Niech będzie pochwalony”. Gdy odwiedzi nas ksiądz kanonik, mówimy głośno: „Witamy księdza kanonika, naszego opiekuna”. A gdy wejdzie ksiądz wikary, mówimy: „Witamy księdza, naszego dobrodzieja”. Dziewczynki mają na głowach różowe tasiemki związane w kokardkę, a na szyjach okrągłe komierzyki, zapięte z tyłu na guzik, tzw. fryzki.

Organistówka w Andrzejewie jest cała na potrzeby rodziny. W ogrodzie są trzy ogromne kasztany i dwie bardzo stare wysokie akacie, i krzewy bz. Jest ładnie. Stefan w niedzielę pełni służbę przy ołtarzu. Wszystko już umie. Każdą część Mszy świętej rozumie i cieszy się z tego. Opowiada rodzicom. Ojciec jest na chorze. Tak trzeba, żeby cała rodzina w kościele była blisko siebie. Na ranne „Godzinki” ojciec zabiera Stasię. Tak ładnie śpiewa i takie wysokie nuty wyciąga. Jest jeszcze w miasteczku

mały chłopiec. Nazywa się Janek Szwanher, on też ładnie śpiewa, cienko jak dziewczyna. Tak więc Matka Boża ma dużo radości z tego dziecięcego śpiewu.

Stasia już także chodzi do szkoły. Poszła od razu do drugiego oddziału. Mając 5 lat już doskonale czytała z elementarza i z książki rosyjskiej. Teraz w trzecim oddziale rozwiązuje zadania arytmetyczne z rosyjskiego podręcznika. Jest ładna i rezolutna. Będzie z niej pociecha dla rodziny. Cieszą się z niej rodzice. W wakacje dzieci szkolne chodzą do ochronki. Będą miały tu opiekę i nauczą się robótek szvedzkowych. W lecie poznają lepiej Andrzejewo. Rzeka ma liczne zakręty. Można w niej zobaczyć ryby. Są piękne, kolorowe łąki. Niektóre trawy mają grube, różowe kłosa. Są niezapominajki, kaczeńce. Kraj lat dziecińczych. Wiosną wierzby tak pachną!

Za parkanem kościelnym staw porośnięły trzciną, wiele placetwa wodnego. Ze sławem związana jest legenda. Głosi ona, że dawniej podczas wielkiej wojny dzwony kościelne przekuwano na armaty. Na dzwonnicy kościoła w Andrzejewie są też takie dzwony. Najwspanialszy z nich, z mosiądzu, miał na imię „Andrzej”. Dzwon ten postanowił się bronić. Gdy miasto spało, wydoستاł się z dzwonnicy i zanurzył między trzcinami w bagnistym stawie. Ludzie czystego serca i bez grzechu mogą nocą usłyszeć jego głęboką i melodyjną muzykę. Stefan także wsuwał w trzcinę deskę, by po niej dostać się do ucha dzwonu, ale deska była za krótka. A szkoda. Legenda jednak nie dawała mu spokoju.

— Chyba grzeszny jestem. Nic nie słyszę. Nie słyszę muzyki dzwonu — mówił Stefan sam do siebie, póki nie usnął.

Stefan wstaje rano i „pilnuje” ołtarza. Starsze dzieci chodzą na naukę katechizmu do kościoła. Stefan pomaga księdzu. Dzieci dzieci na grupy, usadza na murawie, wyznacza każdej coś do nauczania. Dzieci powtarzają chórem i pojedynczo. Jest to miła i przyjemna robota.

— Chyba będę księdzem — zwierza się niekiedy Stasi.

Na ścianach domu w Andrzejewie obrazy: Matki Bożej, Papieża, Księcia Poniatowskiego i Kościuszki. Tu religia spleta się z historią. Na nocnej szafce jest miedziany posążek Matki Bożej. W kącie pokoju stoi stół, nakryty długą niebieską serwetą, nad nim obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, pod obrazem pali się lampka. Na stole wysoki krzyż o szerokiej podstawie, w której wbudowana jest pozytywka z melodią: „Jeszcze Polska nie zginęła”.

Dzieci wraz z rodzicami mówią wieczorem wspólny pacierz. Jest on dla nich bardzo długi. „Ojcie nasz”, „Zdrowaś”, „Wierzę w Boga”, 10 przykazań, 5 przykazań kościelnych, główne prawdy wiary, 7 sakramentów świętych, 5 warunków pokuty, rzeczy ostateczne, ofiarowanie i jeszcze „Pod Twoją obronę”. Do dziś umiem to wszystko.

W związku ze złym stanem zdrowia matka przeżywa niepokoje. Konieczna jest pomoc lekarska. Jest październik. Dzieci są w szkole. Chwile krytyczne nadchodzi 31 października. Stefan nie wraca ze szkoły. Pewnie znowu nauczyciel zostawił go za karę po lekcjach. Matka chce mieć wszystkie dzieci koło siebie. Stasia biegnie do szkoły, przedstawia się panu Arasimowiczowi i prosi, żeby puścił Stefana do domu. Nauczyciel nie chce go zwolnić. Wtedy Stefan zrywa się z ławki i mówi:

— Ja dziękuję panu profesorowi za naukę i więcej do szkoły nie przyjdę. I rzezywiście, już nigdy do tej szkoły nie wrócę!

Spełnia się przepowiednia matki. Umiera w Andrzejewie, mając 33 lata. Zostawia sześcioro dzieci. Przez cały rok sieroty są pod opieką służącej Ulisi. Najmłodsza Zosia umiera. Pochowano ją obok matki. Na płycie grobowej umieszczono jej imię.

W rok potem nasz ojciec nie mogąc sobie poradzić z pięciorgiem małych dzieci zmuszony jest ożenić się po raz drugi. Ślub odbywa się w Andrzejewie na rannej Mszy świętej. Następnego dnia matka z najstarszą Anastazją wyjeżdża do Częstochowy, aby zacerpnąć siły i odwagi. Po powrocie staje do pracy, by życie rodziny doprowadzić do równowagi. Znała się kiedyś z naszą rodzoną matką i postanowiła wychować sieroty. W niespełna tydzień ojciec udaje się do Ostrowi Mazowieckiej, aby sprowadzić pomnik dla śp. zmarłej żony.

Mijają dni i tygodnie. W 1912 roku Stefan pod opiekę ojca wyjeżdża do Warszawy. Początkowo uczy się w gimnazjum państwowym, ale okazuje się, że pracownicy kościelni nie mają prawa posyłać dzieci do szkół państwowych. Dlatego też ojciec musi ulokować syna w gimnazjum Wojciecha Górskiego. Tam naukę prowadzono w systemie semestralnym. Stefan mieszka u wujka Józefa Dybkowskiego, który jest pracownikiem drukarni Laskauera, mieszczącej się na Mariensztacie. Wuj ma córkę, która również chodzi do gimnazjum.

Tymczasem dom rodzinny w Andrzejewie staje na nogi. Wieczorem ojciec pisze akta parafialne, a matka szyje z białego płótna bieliznę dla

dzieci. Powracają wspólne pacierze wieczorne, zwłaszcza zaniebany różaniec. Porządek jest taki: ojciec klęczy z przodu i jest nam przykładem, dzieci obok i z tyłu, a matka na końcu. W lecie odmawiamy różaniec wieczorami, idąc w kierunku cmentarza. Droga prowadzi koło naszego ogrodu. Chodzimy do bramy i z powrotem. Odwiedzamy zmarłą matkę na cmentarzu, ale i do nowej przywykamy powoli. Jest doba dla nas, często rozstrzyga nasze spory, kto najładniej pisze i najlepiej czyta. Układa razem z nami życzenia na imieniny ojca. Troszczy się o nasze potrzeby, dba o zdrowie.

W dawnych dużych rodzinach rodzice zawsze liczyli na starsze dzieci, które dopomagały w wychowaniu młodszego rodzeństwa. Nikt nie sprzeciwiał się temu.

W Andrzejewie oprócz pracy parafialnej nasz ojciec ma też uczniów. Uczy ich gry na fortepianie. Najpierw Franciszka Bulaka, który później zostaje organistą w kościele katedralnym w Łomży; Wacław Staniszek i Józef Czyżewski to również uczniowie ojca. Często sprzecają się o klawiaturę. Każdy chce grać bardzo długo. W lecie zjawia się mistrz od naprawy i strojenia fortepianu — pan Imbrzykowski.

Stefan kończy 2 klasy gimnazjum Górskiego w Warszawie. Wybuch I wojna światowa. Rodzina przeżywa nową klęskę. Budynek cudem zostaje zachowany od pożogi, jaka dotyka miasto. Uratowana od zniszczenia pozostaje tylko jedna ulica. Rodzina jest w bardzo trudnym położeniu materialnym. Gdy miją pierwsza nawałnica wojenna i front przesuwa się, zjawia się u ojca ksiądz Leonard Zatuśka z wiadomością, że w Łomży organizuje się gimnazjum. W kilka dni później nasza matka zawozi Stefana do Łomży i zapisuje do III klasy gimnazjum. Umieszcza go na stacji u profesora tej szkoły, pana Kęsickiego. Wojna nadal gdzieś tam trwa, ale rozproszona ludność wraca do leżących w gruzach domów. Brat mój Stefan kończy III i IV klasę gimnazjum w Łomży, po czym przyjeżdża do domu na wakacje.

Króregoś wieczoru po pacierzu matka mająca niewiele czasu na czytanie mówi do Stefana:

— Może powiesz nam coś wierszem...

Nastaje chwila oczekiwania, którą przerywa poważny głos Stefana:

„Na Anioł Pański biją dzwony,
niech będzie Maria pozdrowiona,
niech będzie Chrystus pozdrowiony...
Na Anioł Pański biją dzwony,
W niebiosach kędyś głos ich kona...”

(Kazimierz Przerwa-Tetmajer „Anioł Pański”)

Jest to dziwny wieczór, gdyż po zakończeniu deklamacji wzruszony Stefan powiada do rodziców, że chciałby ich o coś prosić i chce być tylko sam z nimi w pokoju. Wychodzimy w ciszy, zabrawszy ze sobą najmłodszą Julię. Czekamy w napięciu. Sprawa widocznie jest wielkiej wagi i zbyt poważna, żeby o niej od razu mówić. Dlatego rodzice zachowują spokój. Zarządzają spanie, podczas gdy sami jeszcze długo i cicho rozmawiają. Kilka dni później brat mój z matką wybierają się w jakąś pieszą drogę. Z daleka widzę ich ginące postaci za mostem rzeki. Powracają na trzeci dzień, niosąc jakiś duży pakunek. Przez rozdarty papier wygląda czarny materiał. Przy obiedzie ojciec z powagą podaje nam do wiadomości, że brat nasz Stefan chce zostać księdzem i prosił właśnie rodziców o wyrażenie zgody. Paczka zaś zawiera materiał dla niego na ubranie. Zapada cisza. Patrzymy z szacunkiem na starszego brata. Jest już taki wysoki, wyższy od ojca. Zapewne wie, co robi. Od najmłodszych lat służył do Mszy świętej i przywykł do ołtarza. Tylko mamy Wacław pyta mnie po cichu, czy trzeba będzie kłaniać się Stefanowi i całować go w rękę jak księdza kanonika Rozpędowskiego. Nie umiem mu dać odpowiedzi. Ojciec przez parę dni chodzi zamysłony. Obcując z księżmi na co dzień wie, jak trudna jest droga kapłana. Boi się o syna, ale sprawę oddaje w ręce Boga. Później ojciec często wspominał tę chwilę, jak syn kłęcząc u nóg rodziców całował ich dłonie, a oni błogosławili mu na drogę.

Od tej pory Stefan staje się dorosły. Jesienią udaje się do Seminarium Duchownego we Włocławku. Uzupełnia naukę gimnazjalną. Już w czerwcu 1917 roku przyjeżdża do domu w sutannie. Będąc jeszcze w łóżku długo nie otwieram oczu. Boję się bardzo zobaczyć go w nowym stroju. Przecież jeszcze nie tak dawno grał z nami w klasy, w pakkę tatarkę i w chowanego. Zapoznawał nas także z układem gwiazd. Pamiętam, jak

w koronie rozłożystego kasztana między gestymi liśćmi, gdzieś wysoko, urządził sobie miejsce i tam spokojnie czytał.

Po wakacjach we wrześniu Stefan wyjeżdża na dalszą naukę do Włocławka. Siostra moja, Stasia, jest już uczennicą II-go kursu Nauczycielskiego Związku Katolickich Kobiet na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie. Mieszka w bursie pod nazwą „Dobroczywność Hrabiny Bisping”.

Na wiosnę 1918 roku ojciec nasz traci posadę organisty w Andrzejewie. Biuro pośrednictwa pracy dla organistów prowadzi pan Nawrocki, organista przy kościele Najświętszego Zbawiciela w Warszawie. Przy jego pomocy ojciec otrzymuje posadę w miejscowości Wrociszewo, w okolicach Warki.

Jest to trzecie z kolei mieszkanie, w którym dojrzewa życie rodzinne i dorasta młodzież. Tutaj są oplakane warunki. Tym bardziej, że czas też niesprzyjający. Jeszcze trwa wojna, zbliża się zima.

11 listopada kończy się I wojna światowa. Z trudem przeżywamy do wiosny. Przez całe lato ludzie umierają masowo. Umiera i mój brat Wacław. Pan Kędzior — lekarz z Warki — leczy chorego na tyfus. Inny doktor orzekł, że chłopiec miał zapalenie mózgu. Szkoła dziecka. Już tak ładnie służył do Mszy świętej. Nawet od księdza proboszcza Sobolewskiego dostał w nagrodę zegarek. Pochowany zostaje we wspólnym grobie rodzinnym na cmentarzu we Wrociszewie.

Rok 1920. Starsze rodzeństwo przyjeżdża na wakacje. Stefan również. W sierpniu zbliża się do Warszawy nawała bolszewicka. Rodzice zastanawiają się, co zrobić z synem w sutannie. Może będzie lepiej, żeby wrócił do seminarium. Ludzie ze Wschodu nie uszanują księży ani księciołów. Tymczasem dochodzi do nas wieść o „cudzie nad Wisłą”, słyszemy o męstwie księdza Skorupki. Wreszcie nawahnica bolszewicka cofa się na Wschód.

1 września 1920 roku i mnie rodzice wyprawiają w świat po naukę. W kraju panuje dotkliwa powojenna bieda. W internatach i bursach gimnazjalnych nie ma co jeść ani czym palić. Na Boże Narodzenie 1920 roku mój brat przyjeżdża z odmrożonymi rękami. Są spuchnięte i czerwone. Matka leczy go domowymi sposobami, które okazują się skuteczne. Mimo ciągłych kłopotów ze zdrowiem Stefan kończy Włocławskie Seminarium Duchowne w 1924 roku. Koledzy kursowi

otrzymują święcenia kapłańskie 29 czerwca, zaś Stefan w tym dniu zostaje odwieziony do szpitala. Trudno mi opisać, jakie przeżywa niepokoje. A razem z nim cała rodzina. Lekarz przyjmujący pacjenta do szpitala wrocławskiego stwierdza tyfus i kieruje go na oddział zakaźny. Gorliwa pielęgniarka, a była nią siostra zakonna, chcąc odseparować młodego księdza od reszty pacjentów leżących na dużej sali, otacza łóżko Stefana parawanem. Wkrótce okazuje się, że lekarz postawił mylną diagnozę i stosował zupełnie inne leczenie, niż to było potrzebne choremu. Na szczęście lekarz ten poszedł na urlop. Zastępstwo obejmuje inny lekarz — Żyd! Ten zbadawszy Stefana mówi:

— Co ksiądz tu robi? Ksiądz nie ma tyfusu, tylko ostre zapalenie płuc. Ja księdza wyleczę. Jeszcze ksiądz biskupem zostanie.

Słowa dobrego lekarza okazują się prorocze. Po ustąpieniu choroby zaleca zmienić miejsce pobytu, gdzie byłby spokój, dobre powietrze i intensywne odżywianie.

Stefan znowu wraca do domu rodzinnego. Jest mu to teraz bardzo potrzebne. Zatrzymuje się w mieszkaniu Stasi, odległym o niecały kilometr od domu rodziców. Stasia jako nauczycielka otrzymała dwupokojowe mieszkanie w szkole. Tam też zamieszkuje młody diakon, aby mieć wszelkie możliwe wygody. Po miesięcznej kuracji chory powoli odzyskuje siły. Święcenia kapłańskie otrzymuje 3 sierpnia 1924 roku we Włocławku.

W książce pt. „*Sursum corda*” czytamy: „Później, tj. w roku 1924, święcenia kapłańskie otrzymałem z rąk biskupa Owczarka — w kaplicy Matki Bożej w bazylice katedralnej wrocławskiej. Byłem święcony sam — 3 sierpnia. Moi koledzy otrzymali święcenia 29 czerwca, a ja w tym dniu poszedłem do szpitala. Była to szczęśliwa okoliczność, gdyż dzięki temu mogłem otrzymać święcenia w kaplicy Matki Bożej Częstochowskiej. Gdy przyszedłem do katedry, stary zakrystianin powiedział do mnie: «Proszę księdza, z takim zdrowiem to chyba raczej trzeba iść na cementarz, a nie do święceń». Tak się wszystkim układało, że tylko miłosierne oczy Matki Najświętszej patrzyły na ten dziwny obrzęd, który miał wówczas miejsce. Byłem tak słaby, że wygodniej mi było leżeć krzyżem na ziemi niż stać. Bałem się chwili, kiedy już będę musiał podnieść się, bo nie wiedziałem, czy utrzymam się na nogach. Modliłem się wówczas, abym mógł być kapłanem przynajmniej jeden rok.

Z pierwszą Mszą świętą pojechałem na Jasną Górę i tam ją

odprawiłem w dniu Matki Boskiej Śnieżnej, 5 sierpnia 1924 roku. Pojechałem na Jasną Górę, aby mieć Matkę, aby stanęła przy każdej mojej Mszy, jak stała pod Krzyżem kalwaryjskim.

Później w trudnych okresach życia, ale pełnych łaski Bożej, wiedziałem już na pewno, że najlepiej wszystko zostawić Matce Najświętszej i wszystko «postawić na Nią». «Niech Ona pomaga i zwycięża!»” („*Sursum corda*”, s. 196-197).

W trudnych podróżach przy boku brata zawsze stoi odważnie nasza siostra Stanisława, której rodzice i rodzeństwo tak bardzo ufają.

Po powrocie z Częstochowy ksiądz Stefan odprawia Mszę świętą prymicyjną we Wrocławszewie. Kazanie podczas niej głosi kolega kursowy prymicyjanta, ksiądz Wojciech Wołski.

Tak więc, dzięki pomocy Bożej, nie kończącym się modlitwom rodziny, wyróżnionej pracy rodziców i troskliwej opiece matki i siostr, brat nasz odzyskuje utracone zdrowie. Pragnie służyć Bogu przy ołtarzu. Chce uzupełnić wykształcenie, prowadzić rozpoczęte i zaplanowane prace. We wspomnianej książce pt. „*Sursum corda*” czytamy: „Uczyłem się później długo, bo niemal do trzydziestego roku życia — w różnych szkołach, w seminarium, na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim i za granicą w Rzymie” („*Sursum corda*”, s. 189).

Rok 1924. Ksiądz Stefan Wyszyński zostaje we Włocławku. Jest wikariuszem w katedrze. Ma obowiązek wygłaszać kazania dla inteligencji i okolicznych ziemian na niedzielnych Mszach świętych o godz. 12.30. Pracują razem z nim trzej koledzy kursowi, księża: Sawicki, Dunaj i Mikusiński. Księża mieszkają w kolegium. Gdy kończą III kurs Seminarium Nauczycielskiego, brat mój zaprasza mnie na dwa tygodnie do Włocławka. Mieszkam w hotelu przy ul. Orlej, będącej własnością siostr zakonnych. Patrząc na Stefana i jego pracę prowadzoną z zapalem i radością, jestem niezmiernie wdzięczna Bogu i Matce Najświętszej, że jest całkowicie zdrowy i szczęśliwy. Zaraz piszę o tym do rodziców, którzy tak bardzo wyczekują wiadomości z Włocławka.

Rok później ksiądz Wyszyński zostaje skierowany przez Biskupa Ordynariusza na studia prawa kanonicznego i nauk społecznych przy Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Tu spotkał się ze swoim młodszym o dwa lata kolegą — księdzem Janem Tyszką, którego kiedyś w Andrzejewie przygotowywał do gimnazjum. Podczas wakacji 1928 roku obaj księża studenci przyjeżdżają do moich rodziców mieszkających

we Wrociszewie. Po drodze wstępują do mnie. Jestem już wtedy nauczycielką w szkole podstawowej w Starej Warce. Jest to przepiękna miejscowość, położona po obu stronach szerokiego wąwozu wpadającego do rzeki Pilicy.

Rok 1929. Z Lublina przychodzą do rodzinnego domu listy od Stefana. Ojciec z trudem odczytuje drobne pismo. Moja młodsza siostra Julia jest wtedy także w Seminarium Nauczycielskim. Któregoś dnia wpada do rodziców. Przyjeżdża na rowerze.

— Dobrze, że jesteś — mówi ojciec. — Trudno mi przeczytać niektóre wyrazy. Im więcej uczy się ten mój syn, tym gorzej pisze. A przecież w Zuzeli i Andrzejewie uczył się kaligrafii. — Ojcu są już potrzebne okulary.

Po ukończeniu KUL-u ksiądz Wyszyński wyjeżdża za granicę. Odwiedza Austrię, Niemcy, Holandię, Belgię, Francję i Włochy. Wraca po roku. Najpierw jedzie do domu rodzinnego przywitać rodziców i siostry. Dla wszystkich przywozi pamiątki: albumy, różańce, medaliki. Ja dostaję różaniec. Gdy wiele lat później brat daje mi inny, pokazuję mu ten pierwszy, uszanowany i nie zniszczony. Mówi wtedy:

— To złe, moja panno. Gdybyś się mocno i często modliła, z tego pierwszego różańca nie byłoby śladu. — Patrzy mi wtedy z uporem w oczy. Od tej pory wiem, że różaniec rwie się od częstej modlitwy.

Po tych naukowych wyjazdach ksiądz Wyszyński wraca do Włocławka. Czeka go nominacja na wikariusza w Przedczu, gdzie proboszczem jest ksiądz Wacław Gajzler. Zamieszkuje na piętrze plebanii. Nigdy nie lubił luksusu. Najbardziej był wtedy szczęśliwy, gdy miał w teście brewiarz i jedną zmianę białizny, a w kieszeni różaniec. Gdy później w czasach lubelskich, już jako biskup, otrzyma od siostr zakonnych puchową kołdrę, nie otwierając pakunku odda jego zawartość potrzebującym.

W latach 1930—1939 ksiądz Wyszyński jest profesorem Włocławskiego Seminarium Duchownego. Prowadzi pracę społeczną. Jest redaktorem i współredaktorem kilku pism. Między innymi „Ładu Bożego”, „Ateneum Kapłanskiego” i „Słowa Kujawskiego”. Pracuje jako wykładowca Uniwersytetu Robotniczego, a jego słuchacze nazywają go swoim księdzem.

Rok 1939. Zbliża się druga wojna światowa, a z nią coraz gorsze wiadomości. Wszystkim krzyżują się plany i zamierzenia. Niemcy są już

w granicach kraju. Ksiądz Wyszyński odwozi swego biskupa (Karola Radońskiego) do granicy, a sam wraca do Włocławka różnymi możliwymi drogami i środkami lokomocji. Jakiś życzliwy niemiecki żołnierz radzi wędrującemu księdzu, by trzymał się raczej dróg polnych. Są one bowiem bezpieczniejsze. Stefan wraca z pomocą Bożą do miejsca pracy, mając w rękę najlepszy oręż — różaniec.

W seminarium duchownym, gdzie mieszkał, w swoim pokoju ma ogromną bibliotekę. Kiedyś wieczorem odwiedza go jakiś oficer niemiecki. Przygląda się zapracowanemu księdzu, a potem podchodzi do biblioteki i czubem buta podważa grubą książkę, stojącą na dolnej półce. Książka spada na podłogę, ksiądz Wyszyński ze spokojem wkłada ją na miejsce. Manewr ten Niemiec powtarza kilka razy, chcąc zdemontować mego brata. Ale ten za każdym razem zachowuje spokój.

Profesorowie składają swoje ubrania i cenniejsze przedmioty do wielkich kufców i chowają je na seminaryjnym strychu. Pewnego razu jeden z oficerów przebija bagnietem kufer wypełniony sutanami księży profesorów.

Ksiądz Wyszyński często wspomina starych rodziców. Pojadę, zobaczę — myśli — może potrzebna im pomoc i opieka. Jakos się dostanę. Kolejne jeszcze funkcjonują.

Któregoś dnia września ojciec wychodzi na próg domu. Patrzy, zbliża się jakiś wóz, a na nim coś czarnego. Przecież to ksiądz. Czyżby Stefan? — myśli. Rzeczywiście, wraca znów pod dach rodzinny, na chłopskiej furce. Ojciec płacze biorąc w objęcia syna. Brak słów, by w krótkim czasie opowiedzieć wszystko, co się przeżyło.

Na drugi dzień dochodzą do naszych uszu nie sprawdzone wiadomości, że we Włocławku i okolicach aresztowano wszystkich kapłanów wraz z biskupem Kozalem. Ksiądz Wyszyński ocalał, usłuchawszy biskupa, który polecił mu opuścić Włocławek. Może to Opatrzność Boża natchnęła go dobrą myślą. Jesi widocznie potrzebny dla przyszłych celów... Pewnego dnia zjawia się w domu rodziców Stasia. Szkoły są nieczynne, więc odwiedza rodziców, kierowana tą samą troską o bezpieczeństwo ich i brata. Brat nam wtedy mówi:

— Może to nieprawda, że księża są aresztowani. Pojadę do Włocławka. Znajdzie się tam przecież praca dla księdza, posługa religijna. Msze święte potrzebne są ludziom w czasie wojny.

— Nie pojedziesz — mówi Stasia. — Najpierw ja sprawdzę, jak tam jest, czy możesz wrócić.

Pojechała. Czekamy w niepewności i udrece. Nie ustajemy w modlitwie przez wiele dni. Po kilku dniach przyjeżdża.

— Do Włocławka nie możesz wracać — komunikuje bratu. — Wszyscy wywiezieni do obozów koncentracyjnych. Zostań tutaj. Chłody idą. Przywiozłam ci zimowe ubranie, trochę bielizny.

Mijają dni. Ksiądz Stefan Wyszyński ma pokój na plebanii w miejscowego proboszcza. Czyta, pisze, nashluchuje wieści z frontu. Z siostrą Julią prowadzi rozmowy w języku niemieckim. Widać, że dobrze zna język wroga. Wiezorami długo się modli w kaplicy Matki Boskiej Częstochowskiej.

Jest rok 1940. Już w maju schronienie u rodziców staje się niebezpieczne. Ksiądz jest na liście poszukiwanych. Ojciec przewozi Stefana do mnie. Może tu będzie mógł przetrwać najgorzej. Mieszkam wtedy w pobliżu Piaseczna. Szkoła została uruchomiona dopiero w grudniu 1939 roku. Mamą służącą Franję. Dziewczyzna jest zręczna i mądra. Umie prowadzić gospodarstwo tak, że ksiądz będzie czuł się dobrze. Brat ma własny pokój. Znów czyta i coś pisze.

Życie układa się tak, że w niedzielę najpierw idziemy na Mszę świętą do Nowinek, gdzie przed wojną miało filię gimnazjum warszawskie. Później udajemy się pieszo do Zalesia Górnego. Tutaj jest nieco spokojniej. Ludzie też życzliwi dla naszego księdza.

Któregoś dnia w czerwcu przybywa siostra zakonna z Lasek. Jest możliwość umieszczenia Księdza Profesora w bezpiecznym miejscu, np. w Kozłowie u Zamoyskich albo w Laskach. Smutne pożegnanie, ale dla dobra człowieka trzeba się rozstać. Stasia jedzie do Kozłówki odwiedzić brata. Jest to duży pałac pełen ziemian, przybyłych zza Buga, którzy utracili własne domy.

Pamiętam obiad przy ogromnym stole. Wokół niego wojenni goście. W pewnej chwili polska rozmowa zamienia się w dyskusję prowadzoną po francusku. Ksiądz Wyszyński i jego siostra jednak odpowiadają po polsku. Stopniowo zanika obca mowa. Jesteśmy przecież Polakami.

Księdzu Profesorowi nie odpowiada atmosfera wielkiego dworu. Przenosi się do Lasek, gdzie przebywa do końca wojny.

Rok 1945. Ksiądz Wyszyński wraca do pracy profesorskiej w seminarium

włocławskim. Ma rozległe plany. Przede wszystkim chce kształcić młodzież, poświęcić się pracy społecznej, naukowej i dziennikarskiej.

Rok 1946. Zostaje powołany na stanowisko biskupa ordynariusza w Lublinie. Dzieli się tą wiadomością przede wszystkim z domem rodzinnym. Wpadam do domu w momencie, gdy przychodzi list. Czytam rodzicom. Bez słów całuję ręce matki i ojca jako najwerniejszych świadków drogi kapłańskiej ich syna. Na twarzy ojca widać poważną zadumę. Jego wargi poruszają się słowami cichej modlitwy. W oczach oboje rodzice mają łzy.

Rok 1948. Umiera matka Eugenia. Jej imieniny przypadły 13 września. Zabija ją wiadomość o aresztowaniu najmłodszego syna, Tadeusza, którego skazano za działalność w Armii Krajowej. Biskup lubelski nie przyjeżdże na pogrzeb. Jest właśnie po operacji wyrostka robaczkowego. Po pogrzebie jedziemy ze Stasią do Lublina. Nasz brat jest jeszcze słaby po zabiegu.

— Matka umarła — oznajmiamy.

Widać, jak łzy spływają mu z oczu. Kochał tę matkę, zabieganą i pracownią. Z chwilą jej odejścia kończy się dom rodzinny. Ale mamy jeszcze ojca.

Rok 1949. Ojciec z najmłodszą córką Julią prowadzi się do Zalesia Dolnego. Lewą stronę budynku zajmuje ojciec z Julią, prawą Stasia z mężem Józefem Jaroszem, który jest artystą-malarzem.

Rok 1949. Nasz brat zostaje mianowany arcybiskupem Gniezna i Warszawy, Prymasem Polski. Ojciec całuje syna w rękę, składając hołd Arcypasterzowi. Syn całuje rękę ojca, oddając mu hołd synowski. Do Zalesia przyjeżdża na imieniny ojca.

Rok 1953, 25 września. Życie rodzinne wypełnia ból i żal, niepewność i trwoga. Stasia zdobywa pierwsze wiadomości. Dociera do samego premiera. Siedzi cierpliwie w poczekalni. Jest ostatnia z interesantów. Czeką długo, aż wreszcie premier wychodzi.

— Pani w jakiej sprawie? — pyta.

— Jestem siostrą kardynała Wyszyńskiego. My wszyscy, cała rodzina, stary ojciec czekamy i prosimy o kontakt. Żądamy adresu, możliwości wysyłania listów i paczek. Czy tak właściwie musiało być? — pyta z niecierpliwością.

Premier słucha. Widać, jak się denerwuje. — „On nam tak przeszkadzał, już nam tak przeszkadzał?” — te słowa powiedział na zakończenie.

Są wakacje. Stasia w towarzystwie znajomej nauczycielki z grójeckiego liceum jedzie w kierunku Stoczka. Obie ubrane są sportowo, żeby nie rzucać się w oczy. Do Stoczka docierają któregoś dnia pod wieczór. Ludzie kończą pracę w polu. Podróżne spotykają na drodze wartę. Mijają posterunek, przechodzą opodal budki drugiego wartownika. Nie wolno niczego fotografować ani zapisywać. Trzeba myśleć o noclegu. Wstępują do pobliskiego domu. — Ja nic nie wiem. Przenocować też nie mogę — odpowiada zapytana kobieta. Z rozmowy wynika, że należy do świadków Jehowy. Serce Stasi bije niespokojnie. Jest już tak blisko umiłowanego brata, a jednocześnie tak daleko. Jest bezradna.

W zimie otrzymujemy pierwszy list. Przynosi go szywny, urzędowy posłaniec. W chwili gdy gromadzi się cała rodzina, posłaniec nie daje nikomu listu do ręki. Nie wolno zrobić odpisu ani nic zanotować. Czyta sam, przedko, bez żadnego akcentu. Ale dobre i to. Nie wiadomo, kiedy dostaniemy drugi list.

Rok 1954, 6 października, Prudnik Śląski. Dom opleciony drutem. Stoi na zboczcu wzgórze. Wokół domu pochłył chodnik, po którym można spacerować. W zimie na policzku więźnia tworzy się wrzód. Ksiądz Prymas prosi o lekarza. Zostaje przewidziany na zabieg nocą, tak aby go nikt nie widział. Z lekarzami nie wolno rozmawiać ani wymieniać listów.

Rok 1955. Komańcza. Ksiądz Prymasa może odwiedzać rodzina, księża biskupi i pracownicy Sekretariatu.

Na Wielkanoc 1956 roku wybieramy się ze Stasią do Komańczy. Stasia jedzie dzień wcześniej. Moja przepustka nie jest jeszcze gotowa. Przybywam na miejsce, gdy w kaplicy odbywa się nabożeństwo wielkopiątkowe. Brat mój siedzi między ludźmi na fotelu. Przedzieram się przez tłum, by ucałować jego dłoń. Wymieniamy spojrzenia. Wielka Sobota upływa nam na rozmowach o domu, rodzinie i kraju.

Wielka Niedziela. Jest już po rezurekcji. Siedzimy przy pięknie przybranym stole. Panuje nasrój świąteczny. Wchodzi siostra przełożona. Oznajmia, że straż ochrony wzywa mnie do rozmównicy. Dowódca zwraca uwagę, że kończy mi się przepustka.

— Proszę zabrać rzeczy, odprowadzimy panią do pociągu — stwierdza. — Nie rozumiem — odpowiadam. W mojej przepustce jest pomyłka w ustawieniu dat: 29.III do 3.III. To jest wina urzędnika.

Ksiądz Kardynał jest oburzony. Chcę iść na stację i wszystko

wyjaśnić, ale uspokajam się i myślę, że nie wypadła. Ostatecznie zabieram teczkę, żegniam brata i pod eskortą idę na stację. Żołnierze z hukiem zatrzaskują drzwi. Jakiś podejrzanym typ wchodzi do mego przedziału, patrzy na mnie i kładzie się na przeciwnej ławce. Odczuwam lęk. Powoli zaczynam się przesuwac w kierunku drzwi. On robi to samo. Wracam pod okno. Mój współpasażer podobnie. Przeżywam piekło. Trzymam mocno dokumenty i pieniądze. Taka sytuacja trwa trzy przystanki. Wreszcie na jakiejś większej stacji wchodzi milicja do pociągu. Szukają zbiegłego z więzienia. Oddechnęłam.

Rok 1956, 28 października. Ksiądz Kardynał wraca z więzienia. Z balkonu przed domem wygłasza przemówienie do wiernych zebranych na dziedzińcu. Jesteśmy między ludźmi. Udziela wszystkim słuchającym błogosławieństwa. Jest zmęczony, musi odpocząć. Śpiewają długo w noc.

Zima 1956 roku. Ksiądz Prymas zabiera ojca do swego domu. Odtąd tutaj będzie dla nas dom rodzinny. Można będzie tu przyjść po radę i pociechę. Zbiorowe odwiedziny organizujemy w pierwszy dzień Świąt Bożego Narodzenia i w pierwszy dzień Wielkiejnocy, zazwyczaj od godz. 17. Tak samo w dniu imienia Ojca i Brata.

Rok 1970, 15.II. Umiera nasz ojciec w wieku 94 lat. Prymat w rodzinie Ksiądz Prymas przekazuje najstarszej siostrze Anastazji, ta jednak prosi, by brat stanął na czele osieroconej rodziny.

Rok 1974, 22.IV. Umiera najstarsza siostra Anastazja, w wieku 74 lat. Umiera w nocy, w niedzielę.

Rok 1981, 28.V. Wniebowzięcie Pańskie. Kończy życie ziemskie Brat — Kardynał Stefan Wyszyński.

W grudniu tegoż roku umiera na zawał serca najmłodszy brat — Tadeusz. Rok 1982, 25 marca — Zwiastowanie Najświętszej Maryi Panny, o godzinie 12 w południe odchodzi od nas Stasia.

7 września tego samego roku umiera mój mąż Czesław Jurkiewicz, w niedzielę o godz. 12 w południe.

Księża rodzina jest jeszcze nie zapisana do końca. Zostałam ja i najmłodsza siostra Julia. Smutno i gorzko — wola Boża.